



Miraż o świecie

Niezwykłe zdarzenie na granicy realności.

Niebo jest pełne zagadek i tajemnic, wiedzą o tym wszyscy. A do tego, przechowuje w tajnych archiwach całą historię ludzkości, a być może, także każdego człowieka. Przekonałem się o tym osobiście.

W czerwcu 1978 roku, wracałem ze swoim krewnym do domu, na Kubaniu, po dwutygodniowym, męczącym siedzeniu na bazarze w Briańsku. Zajmowaliśmy się tam mało zaszczytnym, ale dość dochodowym zajęciem – handlowaliśmy arbuzami. Nie byliśmy handlarzami, arbuzy wyhodowaliśmy we własnym ogrodzie. Zaczęliśmy od tego, że około trzy miesiące temu wzięliśmy warendę od sowchozu kawałek ziemi i na nim założyliśmy plantację wczesnej odmiany największej w świecie jagody o nazwie „Ogoniok”. Reszta - dzieło urodzajnej ziemi kubańskiej, klimatu i ciężkiej pracy. Kiedy przyszedł czas zbiorów i zysków, w wyniku nieformalnych pertraktacji, załatwiliśmy do transportu dwie ciężarówki z kierowcami. W dalszej kolejności: trasa, deszcz, kiepskie drogi, buksujące samochody, przeklinanie na czym świat stoi, merkantylni, weseli milicjanci z drogówki, brudne targowisko, pieskie żarcie, wojenka z handlarzami (abchascy Gruzini), w której naszą stronę wzięła miejscowa chuliganeria i OBCHSS (*Policja finansowa*).

Dwoje ludzi na trasie

I oto, z pewną urzekającą sumą w kieszeniach, w znakomitych humorach, przed świtem, pod ciepłym, czystym, usianym gwiazdami niebem, pędziliśmy naszą „kopieską” po pustej drodze obok Kurska. Do domu, do domu, do domu... Po obu stronach kołyszą się groteskowe rzędy olbrzymów, zastygających w ostrym świetle reflektorów w formy olbrzymich topoli. Delikatnie i monotonna śpiewa silnik naszego dziarskiego „żigulonka”. Łamie sen.

Nagle, z przodu, mignęła biała betonowa skrzynia kolejnego wiejskiego przystanku z ciemną, ludzką sylwetką.

- O, spójrz, chyba chce się zabrać. A tam drugi. Weźmiemy? Będzie na paliwko i z kim porozmawiać... - zaproponowałem.

Wspólnik podrapał się po karku i nic nie odpowiedział. Może z tego powodu, że na ostatnim posterunku drogowych wszechwładców, jeden z nich, w osobie starszego lejtnanta, dokładnie „obwąchał” samochód i niczego nie znajdując stracił zainteresowanie nami, ale na pożegnanie rzucił: „Na trasie rozrabiają, bądźcie ostrożni. Szczęśliwej podróży”.

- Zwolnij trochę, przyjrzyjmy się im – nie dawałem za wygraną.

Witek zmniejszył szybkość. Patrzyłem i osądzałem:

- W kapeluszach... z plecakami... w garniturach... lat... dość dużo.

Dwie machające postacie przemknęły obok i znikły.

- No i co?

- Weźmiemy – postanowił Witek i przyhamował.

Uchyliłem drzwi i wpatrzyłem się w ciemność.

Podbiegli. Jeden – krępy, silny, drugi, za jego plecami – chudy, wyższy. Pierwszy się przywitał i od razu się uspokoiłem: prosty, ruski chłopiec-kołchoźniczek, około pięćdziesięcio-sześćdziesięcioletni. Po minucie, dogadaliśmy się co do ceny i jadąc rozmawialiśmy po przyjacielsku o nieciekawym wiejskim życiu, o arbusach i innych życiowych przyjemnościach. Jeden nazywał się Wiktor Stiepanowicz – to ten, który pierwszy podbiegł, a drugi... wybaczenie, ale zapomniałem. Wybrali się do Kurska na spotkanie kolegów z dywizji gwardyjskiej, której numeru także nie zapamiętałem. Oglądając się od czasu do czasu, zwróciłem uwagę na ogromną ilość baretek – weterani wojny ojczyźnianej. Rozmowa także zeszła na ten temat. Obaj – miejscowi, przeszli cały szlak bojowy. Wiktor był w artylerii celowniczym, drugi – w piechocie, zwiadowcą.

Niebieski spektakl

Jechaliśmy tak i jechaliśmy... Zbliżał się świt. Gwiazdy gasły jedna po drugiej, a potem już hurtem. Niebo pomalutku jaśniało, zieleniało, błękitniało. Z boku, po lewej stronie drogi, nad horyzontem rozpalili się ciemnoczerwony świt. Zamilkliśmy. Topole po obu stronach drogi zostały z tyłu, dokoła rozpościerała się równina z odległymi zagajnikami. I nagle, zaczęło się to, co zmusiło mnie do napisania tej relacji. Witek, który w odróżnieniu od nas, kręcących bez przerwy głowami, obserwował cały czas drogę, nagle powiedział:

- Popatrz, co to takiego, tam, daleko, po prawej stronie? Tam! Tam, nad wzniesieniem...

Spojrzałem. Na prawo od naszej trasy, nad dalekim, wysokim wzgórzem, w czystych barwach przedświtów działało się coś, co przypominało lekkie drżenie powietrza. Dwie gwiazdy, jedna jaśniejsza, druga już słabo widoczna, w świetle biegnącego na spotkanie dnia mocno mrugały, tańczyły i kołysały się nad horyzontem, jakby ktoś dawał nam znaki. Było to także podobne do drżących, wznoszących się potoków

powietrza nad szosą w gorący, słoneczny dzień. Drzenie nasilało się, potoki zaczęły się przeobrażać w pewnego rodzaju trąbę powietrzną, obłoczki stawały się raz wyraźniejsze, raz jakby rozmyte, ale z każdą sekundą kolejne wiry i kłębki zlewały się w jedną masę, powiększały i robiły się coraz wyraźniejsze. W końcu, to coś zaczęło przykrywać bledniejące niebo. Jednocześnie, z formowaniem krawędzi, zaczęło powiększać rozmiary, szczególnie w prawo i do góry. Jego granice zmieniały się w chwiejne, nierówne, ale już w pełni kontrastowe ramki niezwyklego obrazu w formie rozciągniętej wzdłuż horyzontu elipsy. Jej rozmiary stawały się wprost gigantyczne. Witek gwałtownie zahamował:

- Nic z tego, nie jedziemy tam.

Wysiedliśmy, nie odrywając wzroku od buszującego nieba. Zauważyłem, że naszym współpasażerom opadły szczęki i po chwili uświadomiłem, że mnie również.

- Witek, zawróć.

- Po co? – spytał zduszonym głosem.

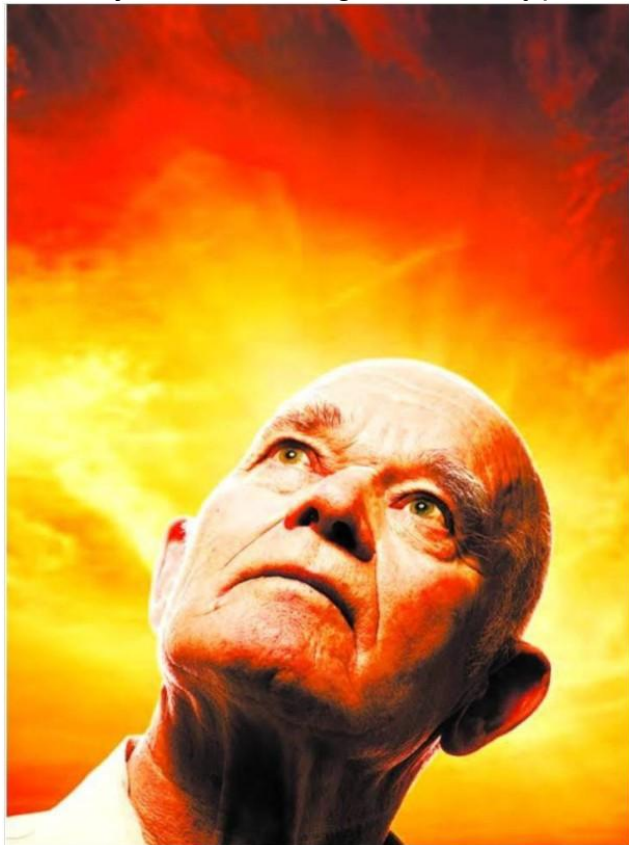
- By szybciej uciekać, w razie czego.

- Aha – zrozumiał, ale nawet nie drgnął, stojąc jedną nogą na ziemi, a drugą w kabinie, trzymając się za dach samochodu i otwarte drzwi. Z jego szczęką działo się to samo, co i u pozostałych.

A niebieskie zjawisko przeobrażało się nadal. Zachodziły w nim wyraźne i, prawdopodobnie, sensowne zmiany. Znikła początkowa półprzeźroczystość, niebo było teraz całkowicie przysłonięte. Wiry i kłębowiska zmieniały się w określone, już rozróżnialne figury i kształty. Przybierały różne kolory, pozwalające odróżnić jeden kształt od drugiego..

- Przecież to... Tworzy się jakiś krajobraz. Tam niebo. Błękitne. Tam, jakieś pagórki. A tam... Co to takiego? Czyżby rzeczka? – niespodziewanie odezwał się Witek.

- A tam jar! Tam, na wzgórzu, coś się porusza! – krzyknąłem.



Echo odległej wojny

Dosłownie w oczach, bardzo szybko, plamy, wiry i kłęby układały się w gigantyczną, barwną panoramę, chwilowo, jeszcze niewiedomo czego.

Rozejrzałem się. Dokoła był ten sam błogi, zaranny pejzaż. Jakby nic się nie zdarzyło i nie miało się zdarzyć.

Zmiany na niebie nabrały tempa. Jakiś niewidzialny reżyser śpieszył się z zaprezentowaniem nam swego zamysłu. Pojawił się zagajnik, nad nim coś drżało i poruszało się. Obraz wyraźnie nabierał głębi. Trwaliśmy w bezruchu, tylko Witek ostatecznie porzucił wewnątrz „żigulonka” i usiadł na masce.

Jeszcze pół minuty i reżyser ostatecznie ujawnił swój obraz – przed nami rysował się rozmyty krajobraz miejsca podobnego do okolic naszego postoj. Letni dzień. Na pierwszym planie duże wzgórza, z niewyraźnymi

jeszcze przesuwającymi się plamami. Łagodny stok schodził do podnóża, sięgając daleko w prawo i na dół, poza granice podniebnego widzenia. Na dalszym planie wznosiło się kolejne wzgórze z zagajnikiem na grzbiecie, a dokoła falowała równina ze skupiskami krzaków i zagajniczków. Jeszcze chwila i widok ujawnił się w pełnej krasie. Była to odsłona bitwy z drugiej wojny światowej. Niezwykle żywa, barwna, ale bez dźwięku. Na wzgórzu pierwszego planu – tyczkowaty oficer Wehrmachtu. Za nim – bateria składająca się z pięciu ogromnych dział bez osłon. Na stoku, na prawo i trochę poniżej, wolno pełzło sześć czołgów. Jeśli dobrze zapamiętałem z wojennych filmów, były to „Tygrysy”. Oficer, z okopconą, nieogoloną twarzą, w brudnym zielonkawym mundurze, wściekle coś krzyczał, szeroko otwierając usta. Wszystko było takie kontrastowe, że można było przyrzeć się koronkom w jego szczęce. Wszędzie, bliżej i dalej – wypalona słońcem trawa z lejami po wybuchach. Daleko, na grzbiecie kolejnego wzgórza, mniej więcej, co trzy sekundy bezdźwięcznie błyskały eksplozje. Także stamtąd, spoza zagajnika wyraźnie odznaczały się długie, wąskie rozbłyski.

Znów się obejrzałem. Nasi starsi współpodróżni – niższy stał po lewej stronie, koło bagażnika, drugi trochę dalej od samochodu – już z zakrytymi ustami, nie zwrócili wzroku z rozwścieczonego oficera.

Czołgi, wolno pełznące po stoku, nagle przystanąły i po sekundzie, prawie jednocześnie, bezgłośnie jęknęły rozbłyskami, wzbijając tumany kurzu. Oficer znowu coś wyrzeszczał, i obsługa dział pochyliła się. Zdecydowane ruchy i działa, odskakując do tyłu, plunęły ogniem. Wszystko zmatowiało zaciągnięte pyłem. Po kilku sekundach, daleki grzbiet, wraz z zagajnikiem wzbił się w powietrze niewielkim, czarnym obłoczkiem. Czołgi znów ruszyły do przodu.

- Przecież to pod Marianówką. Tam! Tam! – nieoczekiwanie zawołał jeden z naszych pasażerów.

Obejrzałem się, Witek także. Chłop, osłaniając dłonią oczy od promieni wschodzącego słońca, wskazywał ręką w kierunku zjawiska.

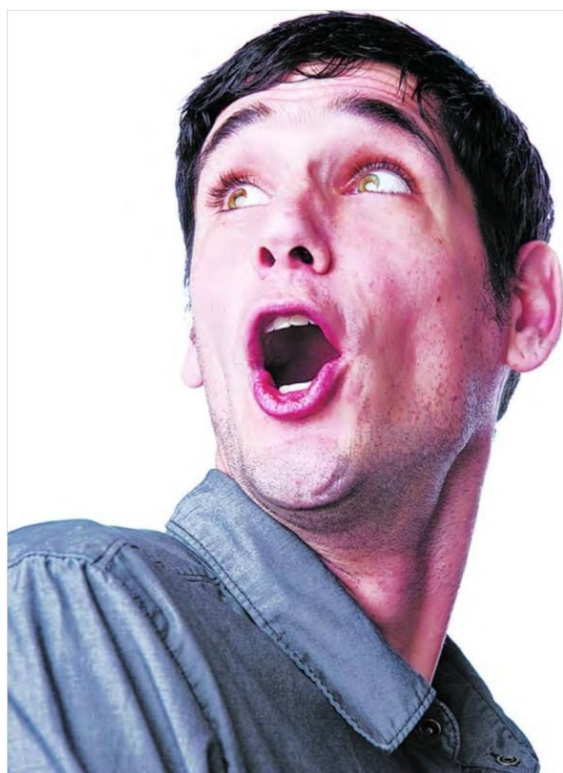
- Myśmy tam stali. Nasz pułk. Na tym wzgórzu, za zagajnikiem! To oni, sukiny! Nakryli nas – nagle chwycił się za serce, a lewą ręką oparł się o bagażnik.

Co się dzieje? Serce? – zaniepokoiłem się, podchodząc do niego.

Nic, nic. Zdarza się. Za chwilę minie – nie odrywał oczy od panoramy niebieskiej bitwy, mrucząc pod nosem: - Baterię naszą nakryli... Prawdopodobnie, to ten chudy się postarał... Albo „Tygrysy”... Zostało nas tylko sześcioro. Zostałem ranny, mocno... To nic, nic. Poczekajcie. Zaraz przylecą garbate. Zaraz, zaraz... Wiem o tym.

Odplata

Daleko, nad wzerwanym i już opadniętym zagajnikiem, niziuteńko nad dalekim grzbietem, pojawiła się grupa kropek. Najpierw powoli, potem coraz szybciej zaczęły



przemieszczać się na boki i zwiększać rozmiary. Oficer patrzył w ich kierunku osłaniając oczy dłonią, żołnierze przy działach zaprzestali obsługi, podnieśli się i także patrzyli w tym kierunku. Kropki zmieniły się w podwójne kreseczki. Było ich dużo, ponad dziesięć. Oficer krzyknął do żołnierzy – ze złością, szeroko odkrywając usta. Dokładnie tak, jak krzyczał tuż przed wcześniej oddaną salwą. Jedni z nich rozbiegli się w różne strony, inni chowali się pod działa. Część kresiek znikła na prawo poza polem widzenia, pozostałe sześć stały się na moment samolotami, bezdźwięcznie przemknęły nad baterią i odleciały. Oficer skrył się w jakimś dołku i przykrył głowę rękoma. Po sekundzie... czarodziejski ekran zgasł – stał się czarny i straszny. Po trzech-czterech sekundach, zaczęły się ukazywać detale tej czerni; spadające z góry ciemne bryły, deski, kawałki jeszcze czegoś. Jeszcze chwila i stało się jasne - baterii już nie ma. Pozostała przeorana mieszanina ziemi, resztek dział, desek. Dołka z oficerem także nie było. Była spadająca z góry, pokieroszowana, ale rozpoznawalna oficerska furażerka. Dwa „Tygrysy” paliły się, jeden bez wieżyczki leżał przewrócony na boku. Pozostałe cofały się, plując ogniem, ale bez żadnego ładu, jak popadło – każdy sobie.

- Cudownie... Dostały. Tak... - wyksztusił celowniczy.

Obejrzałem się. Stał prosto, już nie trzymał się za serce – widocznie, przestało boleć. Zwiadowca także wrócił do równowagi. Spojrzał na mnie, na przysadzistego Wiktora Stiepanowicza i wykrztusił, jakby na swoje usprawiedliwienie:

- Nie było mnie tam – wskazał na niebo. – Wiktor opowiadał o tej bitwie. Ja, wówczas byłem około pięciu kilometrów dalej na południe, ranny, już w punkcie sanitarnym...

Popatrzyłem znów na niebo. Trzy ocalałe czołgi wypełzały poza ramy mirażu, przy zlikwidowanej baterii, obok dział coś się poruszało, ale widok jakby trochę się rozmazał. Jeszcze... chwila i panorama zaczęła się rozplýwać i ciemnieć. Dalej, bardzo szybko zaczęło się dziać to, co na początku, tylko w odwrotnej kolejności. Przed końcówką niebieskiego przedstawienia, tylko już w naszej rzeczywistości, w poprzek znikającego mirażu przeleciał samolot odrzutowy, przekreślając smugą kondensacyjną gasnący obraz bitwy. A to znaczyło, że „ekran” znajdował się bardzo daleko – w stratosferze, jeśli nie wyżej.

Było – nie było

Wszystko się skończyło. Dokoła śpiewały ptaki. Słońce połowę siebie wysunęło już nad horyzont i oślepiało, mając do tego prawo, jak to latem. Wiktor Stiepanowicz ze zwiadowcą urządzili się na małym pagórku za przydrożnym rowem i wymachując rękoma rozprawiali o zdarzeniu. Spojrzałem na zegarek. Od początku do końca niebieskiego przedstawienia minęło około piętnastu minut, najwyżej dwadzieścia.

- Jedziemy dalej? – spytał Witek.

- Poczekaj, może będą jechać jakieś samochody. Popytamy, co oni widzieli. Przejechały dwa samochody: „Wołga” w tym samym kierunku i ciężarówka w drugą stronę. I jedni i drudzy widzieli, że w niebie była jakaś kotłowanina – jakby trąby powietrzne albo ciemne, burzowe chmury. Jednak, wszystko „rozeszło się po kościach”.

Ruszyliśmy dalej. Po drodze trochę rozmawialiśmy o tym, że wszystko w tej historii jest niejasne poza tym, że tylko nasza czwórka to widziała i widziała dokładnie to samo.

Zapomniałem dodać. Miałem ze sobą aparat fotograficzny „Smiena”. Wypstrykałem wówczas całą taśmę. Postanowiliśmy nikomu nie mówić o zdarzeniu, póki w domu nie odbiję zdjęć. Wymieniliśmy się adresami i numerami telefonów. Pieniądzy od nich za podróż, oczywiście nie wzięliśmy.

Po powrocie do domu, natychmiast wywołałem film. Fotografie czarno-białe, ale udały się znakomicie. Jednak... zamiast obrazu niebieskiej bitwy, na zdjęciach utrwaliła się burza, która lada moment miała się rozpętać... jak mówili tamci kierowcy.

Oboje z Witkiem opowiadaliśmy to zdarzenie przy różnych spotkaniach. Wszyscy słuchali z zainteresowaniem, ale uważali to za bajkę. Rozmawialiśmy telefonicznie ze Stiepanowiczem i jego kolegą pytając – jak tam u was? U nich, jeszcze gorzej. Zaczęli także wszystkim opowiadać, ale zwiadowcy poradzili zgłosić się na badania do kliniki psychiatrycznej, dlatego zamilkli.

I to wszystko.

Czas płynie i nieraz myślę, co to takiego było? Może któryś z naszych towarzyszy podróży – weteranów, nie wiedząc o tym, dysponował niezwykłymi zdolnościami hipnotycznymi i myśląc o minionych zdarzeniach, mimo woli wmusił nam to widzenie? A może, hipnotyzer gdzieś tam, w górze?

Anatolij, 48 lat

Opinia eksperta:

Anatolij Ledieniow, jasnowidz, finalista 12 sezonu „Bitwy bioenergoterapeutów”:

- Bohaterowie tej opowieści ujrzeli niesamowitą rzecz. Wielu jest takich, którzy widzieli podobne zdarzenia. Rzecz w tym, że zdarzają się tajemnicze chwile, kiedy „niebo zostaje otwarte”. W takim momencie, jakby otwierały się portale czasu i ludzie widzą najdziwniejsze obrazy z przeszłości i przyszłości. Ale niezwykle rzadko można zobaczyć coś takiego – musi być odpowiedni nie tylko czas, ale zaistnieć także „anomalna” strefa geograficzna.

Pewnego razu, sam byłem świadkiem podobnego zdarzenia. Zostało mi pokazane moje poprzednie życie – byłem uczestnikiem wielkiej wojny ojczyźnianej. Widziałem siebie w roli sierżanta w oddziale, który okrążyli Niemcy. Z bólem serca obserwowałem swoją śmierć w bagnie - opuszczony i bezsilny.

O takich zdarzeniach zazwyczaj nie opowiada się dlatego, że kto tego nie widział na własne oczy – nie uwierzy. Podobne zjawiska nie są jeszcze zbadane, ale też i nie są wcale rzadkością.

Artykuł z rosyjskiego czasopisma „Linia losu” nr 2(40) luty 2014 r.

www.liniya-sudby.ru

Przekład: Tadeusz Rubnikowicz